

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 3 (11)

WARSZAWA

1954

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE

Franciszek Trawnicki, <i>Penetracja amerykańska w Wietnamie po II wojnie światowej</i>	203
Borys Eppel, <i>Kilka uwag o prasie tureckiej 1953 roku</i>	215
Ananiasz Zajączkowski, <i>Z dziejów orientalizmu polskiego Doby Mickiewiczowskiej</i>	221
Szems-ed-Din Hafiz Szirazi, <i>Gazel</i> (przełożył z perskiego Ananiasz Zajączkowski)	246
Jan Reychman, <i>Próby organizacji orientalistyki polskiej w Dobie Mickiewiczowskiej</i>	247
<i>Pieśń harfiarza</i> , (przełożył z egipskiego Tadeusz Andrzejewski)	265
Mori Oga i, <i>Łódź „Takase“</i> (przełożył z japońskiego Wiesław Kotański)	267
<i>Atābāt</i> , (przełożył z arabskiego Władysław Tubielewicz)	275
Sabahattin Ali, <i>Czajnik</i> (przełożył z tureckiego Edward Tryjarski)	277

Z PRACOWNI REKOPISÓW ORIENTALNYCH

Renata Kohnowa, <i>Zbiory rękopisów wschodnich w bibliotekach wrocławskich</i>	283
Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Trzy rękopisy ormiańskie z I-ej połowy XVII w. ze zbiorów polskich</i>	292

MATERIAŁY I NOTATKI

Tadeusz Andrzejewski, <i>Odnalezione „Nauki księcia Dedefhor“</i>	295
Włodzimierz Zajączkowski, <i>O poprawną pisownię imion i nazw orientalnych</i>	296
Aleksander Dubiński, <i>Pawilon PRL na Międzynarodowej Wystawie w Izmirze</i>	297
Wiesław Tomaszewicz, <i>Nieznany przekład H. Sienkiewicza na język turecki</i>	298

RECENZJE

Z książek:	
Jan Reychman, <i>Oczerki po istorii russkogo wostokowiedienija</i>	299
Witold Jabłoński, <i>Ludwika Rodziewicz, Historia sztuki chińskiej</i>	303
Stanisław Kałużyński, <i>Łukasz Hirba, Nowa Mongolia</i>	304
Aleksander Dubiński, <i>Akadiemiku Władimiru Aleksandrowiczu Gordlewskomu k jego siemidiesiatipiatiletju. Sbornik statiej</i>	307
Stanisław Kałużyński, <i>S. I. Rudenko, Kultura nasilenija gornogo Ałtaja w skifskoje wremja</i>	310
Notatki bibliograficzne:	
Włodzimierz Zajączkowski, <i>Dorobek wydawniczy turkologii radzieckiej w latach 1951—1953</i>	312
Z czasopism	

KRONIKA

Zygmunt Rysiewicz	
Z ruchu naukowego na polu orientalistyki:	315
Międzynarodowy Zjazd w Teheranie z okazji 1000-lecia Awicenny	315
XIII Zjazd Orientalistów Polskich w Warszawie	315
Uczczenie pamięci akademika I. J. Kraczkowskiego przez delegację egipską w Leningradzie	317
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	317

SPIS TABLIC

Do przekładu A. Zajączkowskiego: Szems-ed-Din Hafiz Szirazi <i>Gazel</i>	Tab. I—II
Do art. R. Kohnowej, <i>Zbiory rękopisów wschodnich w bibliotekach wrocławskich</i>	Tab. III—IV

*

Winieta na okładce przedstawia tragarza w zawiei śnieżnej według rysunku malarza japońskiego Ando Hiroshige (1797—1825)

MORI ŌGAI

ŁÓDŹ „TAKASE“

Mori Rintarō, pseudonim literacki Ōgai, urodzony w roku 1862, zmarł w roku 1922 (podawane bywają też daty 1860—1919!). Był synem lekarza z Tsuwano. Wszechstronnie utalentowany, był tłumaczem, powieściopisarzem, dramaturgiem, poetą, lekarzem itd. Już w wieku lat sześciu czytał w oryginale klasyków chińskich. Wkrótce też poznał język holenderski na lekcjach ze znajomym swego ojca, lekarzem Muro Ryōsetsu. W roku 1872 dziesięcioletni Ōgai znalazł się w Tokio. W ciągu dwóch lat opanowuje język niemiecki studiując jednocześnie medycynę w szkole medycznej, a następnie na tokijskim uniwersytecie. Lekarzem został już w roku 1881 w wieku lat 19. Zatrudniony w szpitalu wojskowym pisze tam wyróżniające się prace medyczne, za co zostaje wysłany na dalsze studia medyczne do Lipska i Berlina. Wraca do kraju w roku 1888 i zostaje profesorem w Wojskowej Akademii Medycznej. W dalszych latach zdobywa coraz to wyższe stopnie w hierarchii wojskowej medycyny japońskiej.

Pracę literacką rozpoczął około roku 1888, niewątpliwie pod wpływem literatury niemieckiej, z którą zetknął się w czasie swego pobytu w Niemczech. Akcja pierwszej jego powieści romantycznej, ukończonej w roku 1890 pt. *Maihime* („Tancerka“), a następnie wielu innych rozgrywa się w Niemczech. Ogółem Ōgai może się poszczycić dwudziestotomowym dorobkiem powieściowym. Obok wspomnianej *Tancerki* do słynniejszych należą jego utwory *Utakata-no ki* („Błaha historia“), *Asobi* („Zabawa“). W twórczości swej walczył o niezależność młodej powieści japońskiej. Zasiłał utworami swymi czasopisma „Shigarami-zōshi“, „Mezamashi-gusa“, „Kokumin-no tomo“ i „Mita-bungaku“. Jako dramaturg Ōgai napisał co najmniej trzy dobre sztuki — *Urashima*, *Nichiren* oraz *Ikutagawa*. Jako poeta zostawił po sobie jeden tom wierszy. Uchodzi za najbardziej jasnego, pomysłowego i doskonałego pod względem formy pisarza swoich czasów; porównują go w Japonii do Balzaca.

Najwspanialszym jednak pomnikiem, jaki pozostawił po sobie Mori Ōgai, jest jego dorobek przekładowy. Ōgai przełożył i adaptował 67 różnych autorów europejskich, co utworzyło razem bibliotekę tłumaczeń o 97 tomach. Jego antologia poetów Zachodu pt. *Omokage* (*Wyobrażenia*), wydana w roku 1889, silnie wpłynęła na rozwój nowej poezji japońskiej. Adaptował na scenę japońską Ibsena i Strindberga, co nie było bez wpływu na teatr ówczesny. Jako tłumacz jest Ōgai mistrzem nieprześcignionym; przekłady jego są bardzo wierne. Tłumaczył z języka niemieckiego; za pośrednictwem tego też języka przyswoił kulturze japońskiej dzieła autorów innych narodowości. Wymienia się najczęściej jego przekłady Kleista, Hoffmanna, Lessinga, Goethego, z innych zaś Andersena i Calderona.

Nowelę *Takasebune* napisał w roku 1916, gdy w twórczości jego poczęły już przeważać nad romantyzmem elementy realistyczne. Znalazły one swój wyraz w serii powieści historycznych, których bohaterowie doznają krzywd lub widzą krzywdy społeczne, a nawet starają się im przeciwstawić, lecz właściwej drogi wyzwolenia nie potrafili we współczesnych warunkach historycznych znaleźć. Można dodać, że dobór takich właśnie bohaterów historycznych świadczy również o nieprzekraczalnym pułapie literackiego lotu omawianego przez nas pisarza — pułapem tym było pojmowanie przez niego spraw społecznych na poziomie realizmu krytycznego.

W. K.

Łódź „Takase“ kursowała po rzece tej samej nazwy przepływającej przez Kioto. W okresie rządów rodu Tokugawa¹, gdy jakiś przestępca z Kioto został skazany na zesłanie, wzywano jego krewnych do celi więziennej i pozwalano mu się z nimi pożegnać. Potem takich przestępców prowadzono na „Takase“ i przewożono do Ōsaka. Konwojowali ich funkcjonariusze policji pozostający pod rozkazami komendanta miasta Kioto; ci zwykle pozwalali jednemu, bardziej się wyróżniającemu spośród krewnych owego przestępcy towarzyszyć mu na pokładzie łodzi aż do samego Ōsaka. Nie zdarzyło się, żeby wiadomość o tym doszła do zwierzchnictwa, albo patrzono na to — jak to mówią — przez palce; znaczy to tyle, że przyzwalano na to milcząco.

Przestępcy, którzy w owych czasach byli skazywani na zesłanie, rekrutowali się wprawdzie spośród ludzi, którzy — jak uważano — dopuścili się ciężkich przewinień, ale w każdym razie większości ich nie stanowili tacy złoczyńcy, którzy dla grabieży zabijali by ludzi i wywoływali pożary. Ponad połowę złoczyńców jadących na „Takase“ stanowili ludzie, którzy wstąpili na drogę przestępczą bez premedytacji, lecz z tak zwanego braku pełnego rozeznania. Będziemy tu mieć takie wypadki, żeby dać jakiś typowy przykład, gdy mężczyzna zamierzywszy pierwotnie znaleźć wspólnie z ukochaną śmierć z miłości, zabija swą partnerkę, a sam pozostaje przy życiu.

Z takimi to przestępcami na swym pokładzie łódź „Takase“ pod uderzeniami wiosel wyruszała w porze bicia dzwonów wieczornych i lustrując tonące w zmierzchu na obu brzegach domy miasta Kioto, sunęła w kierunku na wschód, aby wpłynąć ukosem w rzekę Kamo. W łodzi skazańcy i ich krewni rozmawiali przez całą noc o swych przeżyciach. Chociaż nieodmiennie wyrażali skruchę, były to jednak tylko próżne słowa. Funkcjonariusze policji, którzy pełnili służbę konwojentów, słysząc z boku te rozmowy, mogli dokładnie zaznajomić się z okropną sytuacją rodzin, z których pochodzili przestępcy. Niewątpliwie były to sytuacje, o jakie urzędnikom, którzy wysłuchiwali zeznań publicznych w sądach komendantury miejskiej albo odczytywali pisemne zeznania przy urzędniczych biurkach, nawet nie śniło się wypytywać oskarżonych.

Ponieważ ludzie służący w policji także bywają różnego charakteru, zakładamy, że byli wśród nich obojętni, którzy to wszystko uważali po prostu za nieznośne i woleliby zatkać sobie uszy, ale byli też policjanci, którzy głęboko przejęci ludzkim współczuciem, choć z uwagi na charakter swej służby nie pokazywali tego po sobie, milcząc boleli samotnie w swym sercu. Nieraz też wyjątkowo miękkiego serca i sentymentalnie nastawieni funkcjonariusze policji, gdy pilnowali odprowadzanego przez krewnych skazańca, który popadł w niezwykle ciężkie tarapaty, nie mogli powstrzymać się od mimowolnych łez.

Przeto konwojowanie łodzi „Takase“ nie było wśród funkcjonariuszy komendantury miejskiej lubiane i uchodziło za służbę nieprzyjemną.

*

* *

Nie wiemy na pewno, kiedy to było. Załóżmy, że było to na przykład w erze Kansei², gdy rządy w Edo sprawował książę Shirakawa Rakuō. Pewnego wiosennego wieczoru, gdy wokół świątyni Chion-in wiśnie roniły przy

¹ 1603—1868.

² Odpowiednik naszych lat 1789—1800.

dźwiękach dzwonów swe płatki, na „Takase“ przyprowadzono dziwnego skazańca, jakiego dotąd nigdy tu nie bywało.

Był to mężczyzna imieniem Kisuke, mający około 30 lat, bez stałego miejsca zamieszkania. Jak można z tego wnioskować, nie miał on krewnych, których by można wezwać do więzienia, i na łódź wsiadł również jedynie sam. Haneda Skōbej, funkcjonariusz policji wyznaczony na konwojenta, który razem z nim znalazł się na łodzi, słyszał jedynie to, że Kisuke był skazany za bratobójstwo. Gdy więc prowadził go z więzienia na przystań i patrzył na wynędzniałą i bladą postać Kisuke, wydawało mu się, że więzień jest jakiś spokojny i łagodny, że jego samego traktuje jako przedstawiciela władzy i pełen szacunku nie sprzeciwia się żadnym poleceniom. Ale nie była to postawa, jaką niekiedy obserwuje się u przestępców, którzy uzbrajają się w pokorę, aby przypodobać się władzom.

Shobei uznał to za dziwne. Toteż, nawet gdy już byli na łodzi, patrzył nie tylko od niechcienia — jak to bywa na służbie — ale wręcz bez przerwy zwracał dokładnie uwagę na zachowanie się Kisuke.

Dnia tego o zmierzchu wiatr ucichł i nastał wieczór wymarzony, gdy przejrzyste chmurki pokrywające całe niebo pozwalają jak przez mgłę dostrzegać zarys księżyca, a ciepło zbliżającego się nareszcie lata podnosi z obu brzegów i z łożyska rzeki wilgotne opary. Od chwili gdy minawszy południową dzielnicę Kioto wpłynęli w rzekę Kamo, okolica stała się cicha i tylko słychać było szmer wody, którą pruć dziób łodzi.

Chociaż nocą na łodzi pozwalano spać nawet więźniom, Kisuke nie zamierzał się bynajmniej kłaść, tylko milcząc śledził wzrokiem księżyc, którego światło to rozjarzało się, to przygasało zależnie od gry cienia w warstwie chmur. Twarz jego była pogodna, a w oczach krył się słaby poblask.

Shobei nie patrząc wprost, ani na chwilę nie spuszczał oka z twarzy Kisuke. Powtarzał w zamysleniu: — Jakież to dziwne, jakież to dziwne! Bo twarz Kisuke, czy patrzył na nią z przodu, czy z boku, wydawała mu się jakaś radosna. Zdawało się, że gdyby nie skrepowanie wobec urzędnika, skazany pocznie gwizdać albo mruzczyć jakąś piosenkę.

Shobei myślał w głębi serca: — Ileż to już razy konwojowałem łódź „Takase“ tak jak dziś, ale skazańcy płynący na niej zawsze niemal przedstawiali widok jednakowo smutny i zarazem nieprzyjemny. A jak zachowuje się ten człowiek? Ma taką minę, jakby był na przejażdżce łódką spacerową. Mówiono, że zabił swego młodszego brata; ale choćby ów brat był kimś złym i choćby zabił go w niewiadomo jakich okolicznościach, już z samego faktu, że jest człowiekiem, nie powinien mieć tak dobrego samopoczucia. Czyżby ten blady, chudy mężczyzna był owym rzadko na świecie spotykanym typem, pozbawionym zupełnie ludzkich uczuć? Doprawdy, to nie do pomyślenia... A może człowiek ten naraz postradał zmysły? Nie, nie! Na to nie wygląda, gdyż nie można zauważyć u niego ani jednego słowa i ani jednego nieskładnego ruchu. Cóż ten człowiek mógł popełnić? — Shobei im więcej myślał, tym bardziej niezrozumiałe wydawało mu się zachowanie Kisuke.

Po pewnym czasie Shobei nie wytrzymał i zawołał:

— Kisuke, o czym myślisz?

— Słucham? — odpowiedział Kisuke, który rozglądał się dotychczas po niebie, i jakby w obawie, czy urzędnik go o coś nie pyta, wyprostował się śledząc teraz pytająco wyraz twarzy Shobeja. Shobei zorientował się, że za-

dał pytanie zbyt nagle. Poczul, że trzeba jakoś usprawiedliwić postawienie pytania nie wynikającego z kompetencji służbowej.

Powiedział więc:

— Nie, o nic ważnego nie pytałem. Właściwie już od dawna chciałem zapytać się ciebie o twój nastrój w czasie tej jazdy na wyspy. Wielu już ludzi na tej łodzi odwoziłem na zesłanie. Losy tych ludzi były dość różne, ale każdy z nich smucił się i płakał gorzko przez całą noc wraz ze swymi krewnymi, którzy odprowadzali go na łodzi. Gdy zaś patrzę na twój wygląd, wydaje mi się, że bynajmniej nie uważasz wyjazdu na wyspy za coś bolesnego. Właściwie co ty o tym myślisz?

Kisuke uśmiechnął się z lekka.

— Dziękuję panu, że jest pan łaskaw ze mną rozmawiać. Istotnie wyjazd na wyspy jest chyba przykry dla większości ludzi. Nastrój ich również i ja mogę starać się zrozumieć: oni tak to odczuwają dlatego, że żyli na świecie wygodnie. Kioto jest pięknym miastem, ale myślę, że w tym pięknym mieście nigdzie się nie znajdzie takiej męki, jaką ja dotychczas przeszedłem. Dzięki ludzkiej postawie władz życie zostało mi darowane i wieziesz mnie teraz na zesłanie. Może na tych wyspach będzie nawet ciężko, ale chyba diabły tam nie mieszkają. Nigdzie dotąd nie miałem miejsca, w którym mógłbym być sam. Teraz władze zawyrokowały, żebym jechał na zesłanie. Za to, że mogę jechać tam, gdzie mnie zesłano z wyroku, jestem im niewypowiedzianie wdzięczny. Przy tym, choć mam tak słabe ciało, nigdy jeszcze nie byłem chory, więc i po przeprowadzeniu mnie na wyspy, nawet przy najcięższych robotach, chyba nie dojdzie do tego, żebym się rozchorował. Poza tym po skazaniu mnie na zesłanie obdarowano mnie dwustu monami³ w gotówce. Mam je tu schowane.

To mówiąc Kisuke wskazał ręką na pierś. Było ówczesnym prawem, że skazanym na zesłanie wręczano — tak jak mówił — dwieście monów w miedziankach. Kisuke ciągnął dalej.

— Wstyd to może powiedzieć, ale nigdy jeszcze nie miałem włożonych do woreczka aż dwustu monów w gotówce. Gdy chcąc dostać gdzieś robotę, chodziłem i pytałem o nią, a wreszcie ją otrzymywałem, wtedy pracowałem nie oszczędzając sił. Jednakże zarobione pieniądze musiałem zawsze pooddawać ludziom na prawo i na lewo. Gdy mogłem coś zjeść płacąc za to gotówką, był to dla mnie przejaw dobrobytu; przeważnie jednak zwracałem to, co pożyczyłem, i jeszcze jakaś reszta pozostawała w długi. Gdy wsadzono mnie do więzienia, dostawałem jedzenie nie pracując na nie. Już za to samo nie mogę nie być wdzięczny władzom. Ponadto zaś po wyjściu z więzienia dostałem te dwieście mon. W ten sposób mogłem i codziennie jeść to, co otrzymywałem od władz i wziąć ze sobą nienaruszone dwieście mon. To, że mogłem wziąć takie pieniądze jako własne, zdarzyło się mi po raz pierwszy. Dopóki nie znajdę się na wyspie, nie wiem, jaka mnie tam robota czeka. Cieszę się jednak, że tych dwieście monów posłuży mi jako kapitał zakładowy w przedsięwzięciu, jakie stanie się moim udziałem w wygnaniu.

Po tych słowach Kisuke zamilkł.

Shobei wprawdzie odezwał się: — Hm, tak to jest..., ale ponieważ wszystko, co usłyszał, było dla niego zbyt niespodziane, również nie mogąc więcej powiedzieć zamilkł i zamyślił się.

³ Mon — japońska moneta zdawkowa o najniższej wartości.

Shobei był w wieku powyżej czterdziestu lat i żona wydała już mu na świat czworo dzieci. Ponadto żyła jeszcze jego staruszka matka, tak że w domu było ich siedmioro. Prowadził życie tak oszczędne, że zazwyczaj pomawiano go o skąpstwo; i tak na przykład poza ubraniem, które nosił na sobie podczas służby, miał jeszcze tylko kimono nocne. Na nieszczęście wziął sobie żonę z domu bardzo bogatego kupca. Żona miała wtedy najszczęśliwy zamiar prowadzić życie z pensji, jaką otrzymywał mąż. Ponieważ u bogatych rodziców wychowano ją w zbytku, nie potrafiła prowadzić życia tak, aby zadowolić męża — to znaczy z zamkniętą sakiewką w ręku. Zwykle pod koniec miesiąca nie mieli już czym płacić rachunków. Wtedy żona pokrywała rachunki pieniędzmi, które potajemnie przynosiła z rodzinnej wioski, bo mąż nie tolerował żadnego zadłużenia. Sprawa ta nie była jednakże nieznana mężowi. Shobei uważał za niewłaściwe nawet to, że gdy nadchodziło któreś z pięciu dorocznych świąt, otrzymywał od krewnych swej żony różne rzeczy. A gdy zbliżały się urodziny dzieci w trzecim, piątym i siódmym roku ich życia i dostawał od tychże krewnych ubranka dla dzieci — nie robił dobrej miny, choć widział, że pomoc ta uzupełniała luki w ich gospodarstwie. Bywało to również przyczyną, że w domu Hanedów, gdzie nie istniało nic, co by mogło naruszyć spokój, powstawały od czasu do czasu burze.

Shobei słuchając teraz opowieści Kisuke próbował porównać swój los z losem aresztanta. Kisuke powiedział, że choć brał zapłatę za wykonaną pracę, tracił ją oddając z ręki do ręki dłużnikom. Doprawdy, smutny to i przykry los. Ale z drugiej strony, gdy spojrzę na swój własny los, jakąż to właściwie różnica będzie między nim a mną. Czyż nie tak samo żyję ja, który pensję otrzymaną od zwierzchników przekazuję natychmiast innym. Różnica między nim a mną to tylko tyle co różnica rzędu na liczydło, przy czym ja nie mam odłożonych nawet tych dwustu monów, za które Kisuke jest tak wdzięczny.

Skoro więc uwzględnimy tylko ową różnicę rzędu czy stopnia, nie ma nic niewłaściwego w tym, że Kisuke cieszy się z tych marnych dwustu monów, uważając je za majątek. Takie przeżycia mogą jeszcze w sobie odtworzyć. Ale choć próbuję jakoś wczuć się w ową różnicę rzędu, najbardziej mnie dziwi ten sam brak chciwości, to jego świadome umiarkowanie w stosunku do posiadania.

Kisuke z wysiłkiem poszukiwał po świecie pracy. Gdy tylko ją znalazł, nie żałował w pracy rąk i był zadowolony, jeśli miał co włożyć do ust. Dostawszy się potem do więzienia, dziwił się, że może dostawać to, tak trudne dotąd do zdobycia pożywienie bez pracy, niemal jakby darowane przez niebo, toteż poczuł w sobie zadowolenie, jakiego nie zaznawał dotąd nigdy w życiu swoim.

Shobei, choć dostrzegał podświadomie różnicę między nim a sobą, teraz dopiero zrozumiał, jak ona jest wielka. W życiu prowadzonym przez nich i opartym na jego pensji, choć bywały niekiedy braki, to wydatki przeważnie równały się dochodom. To było życie w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale w tym stanie rzeczy niemal nigdy nie odczuwał zadowolenia. Zarówno szczęśliwe, jak i nieszczęśliwe momenty mijały u niego zwykle bez doznań. Jednakże w głębi serca zrodziła się i wkrótce przeniosła na próg świadomości poważna wątpliwość; bo oto uświadomił sobie, że gdy w jego życiu przejawiały się obawy, co na przykład zrobi, jeśli nagle zwolnią go ze służby, lub jeśli ciężko zach-

ruje, wówczas żona wyciągała od swych krewnych pieniądze i dopiero wtedy strach znikał.

Na czym więc właściwie ma polegać ta różnica? Sądząc z pozorów, wystarczyłoby uznać za jej podłoże to, że Kisuke nie ma bliższej rodziny, podczas gdy ja mam. Ale to kłamstwo. Gdybym nawet był sam jeden, nie miałbym i wtedy nawet części tej pogody ducha, jaką widzę u Kisuke. Sedno rzeczy tkwi tu chyba znacznie głębiej — myślał Shobei.

Shobei próbował przemyśleć — choć w sposób niesprecyzowany — mechanizm życia ludzkiego. Gdy organizm ludzki opanuje choroba, pojawia się myśl, żeby choroba się skończyła. Gdy od czasu do czasu brak czegoś do zjedzenia, myślimy, jakby tu można się najeść. Jeśli w jakimś okresie czasu nie mamy zapasów na zimę, marzymy, żeby choć trochę tych zapasów zdobyć, a jeżeli nawet mamy zapasy zrobione, to znowu biedzimy się myślą, żeby je jakoś powiększyć. Gdy się tak systematycznie spróbuje rzecz przemyśleć, nie można być pewnym, czy człowiek jest zdolny w którymkolwiek momencie przerwać swą zapobiegliwość. Obecnie jednak Shobei zobaczył to na własne oczy; oto Kisuke pokazał, że taki marsz w życiu można przerwać.

Shobei patrzył teraz na Kisuke jakby na nowo, z podziwem w oczach. I wydawało mu się jakby głowa Kisuke, odcinająca się na tle nieba, promieniała.

Shobei, nie spuszczać wzroku z twarzy Kisuke, znowu zaczął:

— Kisuke-san!

Tym razem powiedział „-san“, ale w istocie nie było żadnej dostatecznej przyczyny, by w ich sytuacji posługiwać się tytułami. Shobei sam nie wiedział, czy ten głos wyszedł z jego ust, czy wpadł do jego ucha, ale dostrzegł niewłaściwość takiego tytułowania. Tylko że teraz nie było już możliwe cofnąć tego, co się powiedziało.

— Słucham! — odpowiedział Kisuke, który również zdawał się owo ła-skawe-san uważać za nieuzasadnione, i z szacunkiem oczekiwał, co Shobei dalej powie.

Shobei, pokrywając nieco swe zmieszanie, odezwał się:

— Różne już rzeczy słyszałem, ale ty podobno jesteś skazany na wygnanie za zabicie człowieka. Czy nie zechciałbyś przy okazji opowiedzieć mi o sobie o przyczynie tego?

Kisuke, który zdawał się być tym bardzo speszony, odpowiedział:

— Skoro pan sobie tego życzy...

I począł cichym głosem opowiadać.

— Przepiękne, które poza udziałem mej woli popełniłem, jest doprawdy dziwne, a okropności tego czynu nie da się właściwie przekazać w słowach. Gdy myślę o tym z perspektywy czasu, sam nie mogę wyjść z podziwu, jak się to mogło stać. Działiałem wtedy zupełnie jakby we śnie.

Rodzice zmarli mi w czasie epidemii, gdy jeszcze byłem mały i zostałem na świecie sam ze swym młodszym bratem. Początkowo darzyli nas współczuciem najbliżsi sąsiedzi, można dodać, że robili to akurat w taki sposób, jak się okazuje politowanie szczeniętom urodzonym we własnym domostwie; używano nas do różnych posyłek w obrębie sąsiedztwa, nie zaznawaliśmy jednak ani głodu, ani chłodu i tak chowaliśmy się. Gdy już potem podrośliśmy i szukaliśmy pracy, stanowiliśmy faktycznie coś w rodzaju nierozdzielnej pary i stale przebywając jeden przy drugim pomagaliśmy sobie wzajemnie przy pracy.

Aż przyszła zeszłoroczna jesień. Wraz ze swym bratem dostałem się do tkalni w rejonie Nishijin, gdzie zaczęliśmy pracować jako robotnicy placowi. Wtedy to mój brat zachorował i nie mógł dalej pracować. Sypialiśmy wówczas razem w ziemiance na Kitayama, a gdy szedłem do tkalni, przechodziłem przez most na Kamiyagawa. Gdy wracałem do domu, zwykle po ciemku, z zakupionym jedzeniem, brat oczekiwał mnie. A ponieważ ja sam pracowałem na nas obu, wyrażał gorąco swą wdzięczność. Pewnego dnia, gdy wróciłem jak co dzień spokojnie do domu, brat mój leżał bezwładnie na posłaniu, a wokół niego było pełno krwi. Przerażony wypuściłem z ręki niesioną łubiankę bambusową i coś tam jeszcze; podszedłem do niego pytając: Co się stało? Co się stało?... Wtedy mój brat odwrócił swą zupełnie białą twarz, umazaną z obu stron krwią od policzków aż do podbródka, i popatrzył na mnie, lecz nie mógł nic powiedzieć. W zakrwawionych ustach aż świszczało mu przy każdym oddechu. Ponieważ nie mogłem zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć, powtarzałem: Powiedz, co ci się stało! Może miałeś krwotok?... Gdy starałem się jeszcze bardziej zbliżyć do niego, brat oparł prawą rękę o posłanie i uniósł nieco tułów. Jego lewa ręka mocno naciskała okolice pod brodą, a spomiędzy palców widać było kawały szerniałej krwi. Brat mój — zdawało się — zabraniał mi wzrokiem zbliżyć się do siebie, poruszał jednak ustami. Wreszcie zdołał wymówić: „Zawiniłem. Przebacz mi, proszę. Myślałem, że jestem tak beznadziejnie chory, że uraduje cię moja szybka śmierć. Myślałem, że jak przetnę sobie tchawicę, zaraz umrę, ale tylko oddech zaczął się tamtędy przedostawać i nie mogłem umrzeć. Chciałem cię głębiej i z całej siły nacisnąłem, lecz ostrze ześliznęło się na bok. Nie miałem już siły go wyciągnąć. Zdaje mi się, że gdybyś je zdołał wyciągnąć, mógłbym umrzeć. Nie mogę już mówić, tak mnie boli. Proszę, pomóż mi, wyciągnij!“. Tu brat zwolnił nieco ucisk lewej ręki i natychmiast oddech zaczął się tamtędy wydostawać. Nie wiedziałem, co powiedzieć; nie mogłem nawet głosu z siebie wydobyć; patrzyłem milcząc na przerznąętą szyję brata. Prawdopodobnie trzymał jakoś brzytwę prawą ręką i ciął wpoprzek tchawicy; cięcie dokonane w ten sposób nie mogło być śmiertelne; dopiero potem zapuścił brzytwę głębiej, sztychem. Rękojeść wystawała z rany na jakieś dwa cale. Patrzyłem na twarz brata nie mogąc zdecydować się, co robić. Brat utkwiał we mnie nieruchomo wzrok. Powiedziałem wreszcie: Poczekał, zawołam lekarza! Brat spojrział na mnie z wyrzutem i znowu przyciskając mocniej lewą dłońią gardło, powiedział: „Po co mi lekarz? O, jak mnie boli! Prędeż, wyciągnij! Proszę cię!“. Czułem, że tracę panowanie nad myślami i patrzyłem tylko na twarz brata. W takich momentach — dziwna rzecz — mogą przemawiać oczy. Oczy mego brata mówiły: Zrób to, szybciej, szybciej! — i patrzył na mnie jakgdyby z wyrzutem. W głowie mej nagle poczęło huczeć, jakgdyby toczyły się przez nią koła dźwigów. Lecz oczy brata mego nie odstąpiły od straszego żądania. Wyraz wyrzutu w jego oczach pogłębiał się coraz bardziej, aż wreszcie stały się one straszne i srogie, jakby patrzyły w twarz wroga. Widząc to, zrozumiałem wreszcie, że muszę zrobić tak, jak chciał brat. Powiedziałem: Cóż mam począć? Wyjmę ci to! — Wtedy oczy brata mego zmieniły nagle barwę, zobaczyłem w nich pogodę i niemal rozradowanie. Po desperacku, chyba bez jednej chwili namysłu, przyklęknałem i pochyliłem się ku przodowi. Brat mój zwolnił prawą rękę, na której był oparty, łokciem ręki trzymanej dotąd na gardle podparł się o posłanie i przewrócił na bok. Uchwyciłem mocno oprawę

brzytwy i czym prędzej ją wyciągnąłem. Wtedy to zamknięte dotąd drzwi frontowe naszego mieszkania otworzyły się i weszła przez nie staruszka z sąsiedztwa. Była to kobieta uproszona przeze mnie, by w czasie mojej nieobecności podała bratu lekarstwo lub w czymś mu pomogła. Ponieważ w mieszkaniu było już dość ciemno, nie wiem, co staruszka owa mogła z tego wszystkiego zobaczyć; w każdym razie z krzykiem otworzyła drzwi i zostawiając je na oścież, wybiegła. Gdy wyciągałem brzytwę, uważałem tylko, by wyciągnąć ją szybko i bezpośrednio. Jednak w wyniku wyciągania przeciąłem — зда-je się — miejsca dotąd nie przecięte. Ponieważ ostrze było skierowane na zewnątrz, przeciąłem chyba zewnętrzne tkanki. Trzymając w dłoni brzytwę patrzyłem nieprzytomnie na to, jak staruszka owa weszła, a potem wybiegła. Po jej oddaleniu się wróciła mi świadomość i spojrzałem na brata — oddech jego stawał się już coraz słabszy. Z rany wydobywała się masa krwi. Wkrótce przyszło kilku starszych panów, by przeprowadzić mnie do urzędu. Zanim odeszliśmy, położyłem brzytwę obok zmarłego brata i popatrzyłem przez chwilę na jego twarz z na wpół otwartymi oczami.

Kisuke, który miał początkowo opuszczoną nieco głowę, ale w toku opowiadania śledził z dołu wzrokiem twarz Shobeja, zakończywszy swą opowieść, zapatrzył się przed siebie.

Opowieść Kisuke była zbudowana bardzo logicznie, można by niemal powiedzieć, że aż nazbyt logicznie. Pochodziło to stąd, że przez jakieś pół roku rozpamiętywał nieskończoną ilość razy ówczesne wydarzenia i za każdym razem, czy pytany przez urzędników, czy badany w komendanturze miejskiej, był zmuszony przedstawiać ją z coraz to większą precyzją.

Shobci słuchał wszystkiego mając wrażenie, jak gdyby widział to na własne oczy. Jednakże wątpliwość, która pojawiła się w nim od połowy opowieści — czy można mianowicie tę sprawę nazwać ostatecznie bratobójstwem lub zabójstwem — nie chciała ustąpić z jego myśli nawet po zakończeniu opowiadania. Jego młodszy brat prosił o wyciągnięcie brzytwy z rany, ponieważ po jej wyciągnięciu spodziewał się umrzeć; wynika z tego, że skoro Kisuke brzytwę wyciągnął, spowodował śmierć brata, a więc zabił. Ale wydaje się, że gdyby nawet Kisuke zostawił wszystko, tak jak było, brat jego i tak musiałby umrzeć. Chciał jednak prędzej umrzeć, gdyż nie mógł ścierpieć bólu; Kisuke natomiast nie miał już siły, by dłużej patrzeć na jego cierpienia. Z myślą o wybawieniu brata od cierpień odebrał mu życie. Czy to jest właściwie przestępstwo? Zabijanie jest bez wątplenia przestępstwem, ale w tym wypadku, skoro pobudką czynu było uwolnienie brata od cierpień, rodziły się wątpliwości, których nie można było już rozproszyć.

Po wielu próbach przemyślenia tej sprawy w umyśle Shobeja zrodziła się konkluzja, że za wyrok odpowiedzialni są ludzie znaczniejsi od niego i że on powinien ufać jedynie władzy. Toteż Shobei natychmiast uznał wyrok komendantury za swój własny. Mimo to jednak nie zyskał poczucia, że wszystko już jest dla niego jasne w tej sprawie, ale w komendanturze o bliższe wyjaśnienia nie miał specjalnej chęci pytać.

W ciemną, coraz to głębiej zapadającą noc łódź „Takase“, wioząca dwóch milczących ludzi, ślizgała się dalej po czarnej powierzchni wody.

Przełożył z japońskiego
Wiesław Kotański